

RELACJA Z POBYTU W HOLANDII
MEREWAD COLLEGE, GORINCHEM
23.09.11-01.10.11

Z humorami zadziwiająco dobrymi jak na perspektywę kilkunastu godzin, które mieliśmy spędzić w autokarze, w miarę punktualnie wszyscy stawiliśmy się na miejsce zbiórki. Patrząc po wielkości bagaży co poniektórych szykowaliśmy się prawdopodobnie na wielomiesięczną emigrację. Tak więc zaopatrzeni we wszystkie (nie)zbędne rzeczy, jak np. 10 par szpilek, czy zapasy żywnościowe dla pułku wojska, czekaliśmy z coraz większym zniecierpliwieniem na nasz liniowy autokar mający zawieźć nas do Holandii. A że, jak wiadomo, "Polska w budowie" przyszło nam poczekać jeszcze trochę. Ach, jakże piękne są Katowice w słoneczny piątkowy poranek, wśród ulicznego zgiełku i huku z pobliskich budów. Jednak z perspektywą spędzenia tygodnia u holenderskich rodzin nie zważaliśmy na chwilowe niedogodności. W końcu autokar podjechał, pożegnaliśmy się z rodzinami i z ulgą zajęliśmy miejsca. Jeszcze tylko pani pilot poinformowała nas o trasie przejazdu, postojach, z dumą oznajmiła że ich autokary wyposażone są w toaletę pokładową, mini barek i koszyk na śmieci. Tak zaznajomieni z luksusowym wyposażeniem mogliśmy wyruszyć do kraju rowerów, tulipanów, krów i wiatraków.



Podróż o dziwo nie była zbyt męcząca, nawet mimo nocnej przesiadki. Tak więc lekko spóźnieni zjawiliśmy się koło godziny 8 w centrum opustoszałego o tej godzinie Rotterdamu, gdzie czekał na nas już szkolny bus. Po zaledwie pół godzinnej jeździe dotarliśmy w końcu do Merewade College w Gorinchem. Szkoła z zewnątrz wyglądała ładnie, nowoczesnie ale nie jakoś specjalnie. Już wkrótce przyszło nam diametralnie zmienić zdanie. Przed budynkiem poznaliśmy się z naszymi Holendrami i Holenderkami i, wymieniwszy grzecznościowe formułki powitalne, udaliśmy się do domostw. Jak się okazało niektórzy mieszkali zaraz naprzeciwko szkoły, inni nawet parę kilometrów dalej. Dzień pierwszy spędziliśmy zapoznając się z naszymi rodzinami, odpoczywając po podróży, niektórzy zwiedzali miasto, oglądali okoliczne sklepy, inni wybrali się do pobliskiego Utrechtu (miasto z galerią handlową przypominającą lotnisko, ścisk, tłok, wrzawa ale za to jakie sklepy!), jeszcze inni udali się na sąsiedzkie grille (o dziwo życie sąsiedzkie w Holandii kwitnie), wieczorem wszyscy razem spotkaliśmy się i poszliśmy już na „mniej formalne” zwiedzanie miasta i okolicznego portu. Jeśli chodzi o samo miasto to czekało nas miłe zaskoczenie. Po pierwsze: czysto, wszystko uporządkowane, choć zabudowania dość jednakowe i z czasem monotonne. W dniu naszego przyjazdu trwał akurat miejscowy festyn, chyba marynistyczny, choć i to ciężko stwierdzić bo sprzedawano wszystko od wędzonych węgorzy po opony do rowerów. Do takiej bazarowej różnorodności Polacy chyba jednak na przestrzeni dziejów zdążyli przywyknąć. Powiedziano nam, że takowe odbywają się tu co tydzień, no cóż, przynajmniej ludzie się nie nudzą.



Niedziela również była dniem wolnym od szkolnych wycieczek. Po odespaniu minionej nocy nasi Holendrzy postanowili aktywnie zorganizować nam czas. Tak więc część z nas pojechała do tzw. parków rozrywki. Wrażenie wywarły na nas również bardzo pozytywne: wszystko nowoczesne, zadbane, potężne rollercoastery, poziom kiczowatości, nawet jak na wesołe miasteczka, w granicach normy.. Ogólnie na plus dla Holendrów. Inni z nas w tym czasie mogli pograć w football w samym centrum miasta (na tzw. boisku do ćwiczeń, wyglądającym jak stalowa klatka, w samym centrum osiedla), a potem popływać w pobliskiej rzece, co akurat było genialnym pomysłem, biorąc pod uwagę, że akurat na nasz przyjazd pogoda była w Holandii lepsza niż w lecie. Jedną z głównych refleksji dnia: rowery, cała masa, wszędzie specjalne ścieżki rowerowe, parkingi, ogólnie całkowicie inna kultura drogowa: jadący na rowerze ma zawsze pierwszeństwo, wyobraźmy sobie taką sytuację na polskich drogach...



Pierwszy dzień w szkole i od wejścia do budynku szok. Inny świat, całkowicie. Po pierwsze ogromna przestrzeń, wszystko nowoczesne do granic możliwości, recepcja jak na lotnisku, sala kinowo-teatralna, sala muzyczna z mnóstwem instrumentów, boiska, ścianki wspinaczkowe. Dużo by wymieniać. Od razu poszliśmy do auli, gdzie powitał nas i uczniów z Włoch i Hiszpanii dyrektor szkoły, chwila przerwy i podzieleni na grupy udaliśmy się dokładnie sobie szkołę obejrzeć i popodziwiać. Rzeczą, która nas wprawiła w zdumienie były z pewnością przeszklone klasy, każdy idąc korytarzem widział co w danej klasie się dzieje, a jeśli owego przeszklenia nie było to obok drzwi zamontowane były monitory, na których można pooglądać sobie jak toczy się klasowe życie. Nie wyglądało to zbyt zachęcająco i jakoś nie wyobrażamy sobie podobnego rozwiązania u nas. Ogólnie wszystko przytłacza nowoczesnością, w szczególności w pełni skomputeryzowana biblioteka, czy świetnie wyposażona sala plastyczna. Podsumowując: mamy nad nimi przewagę w postaci Tradycji i kota w formalinie.

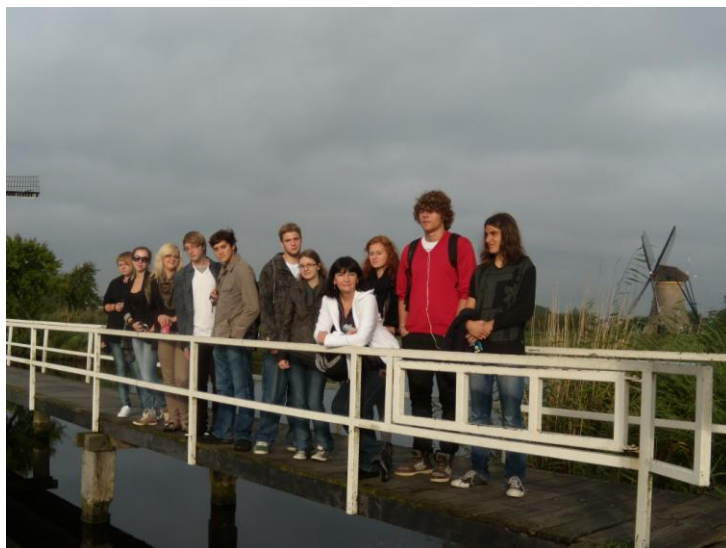
Później wysłuchaliśmy wykładu o gospodarce wodnej w Holandii, zjedliśmy lunch i z holenderskimi uczniami udaliśmy się na zwiedzanie miasta. Pod wieczór ponownie odwiedziliśmy szkołę, gdzie czekało na nas wielkie barbecue oraz gry i zabawy sportowe, którymi zaraziliśmy zarówno Włochów jak i Hiszpanów.





Wtorek okazał się dniem bardzo owocnym. Z samego rana wyjechaliśmy do miejscowości zwanej Kinderdijk, szczególnie ważnej dla turystów, gdyż słynącej z wielu wiatraków, jednych z symboli Holandii. Miejsce faktycznie piękne i niecodzienne, co zresztą docenili grupowo turyści z Chin. Tak więc jak to większość mieszkańców Azji nie oszczędzili żadnego drzewka, kamyczka, robiąc zdjęcia wszystkiemu co stanowczo nie protestowało. Po podszlifowaniu naszego chińskiego mogliśmy udać się w dalszą drogę do Rotterdamu.





Sam Rotterdam robi wrażenie swoją nowoczesnością, natomiast miastem szczególnie pięknym nie jest, w czasie II Wojny Światowej zostało doszczętnie zniszczone, więc odbudowano je już w duchu modernistycznym. Znakiem rozpoznawczym miasta jest oczywiście słynny most nazwany „Łabędziem”, choć trzeba trochę wysiłku, żeby owego łabędzie rzeczywiście dostrzec. Oczywiście dostaliśmy trochę czasu wolnego, więc mogliśmy zwiedzić pobliskie sklepy. Z rzeczy ciekawych i godnych uwagi należy z całą pewnością wymienić Macdonalda usytuowanego w samym środku jednego z odzieżowych sklepów, widok zapewne niecodzienny i skłaniający do refleksji nad szerzącym się konsumpcjonizmem.





Środę spędziliśmy w szkole na zajęciach z chemii i plastyki, oraz później grając w gry natury wszelakiej na szkolnym boisku. Lekcje okazały się nadzwyczaj owocne. Udało nam się zrobić krem do rąk (całkiem niezły i o dziwo tylko Polakom wyszedł poprawnie z czego możemy być dumni) oraz żel do włosów i to w trzech kolorach! Inni stworzyli „kopie” jednych ze „Słoneczników” Van Gogha, starając się z całych sił, żeby nie obrazić świętej pamięci mistrza. Wieczorem natomiast jak co dzień spotkaliśmy się w miejscowym porcie, tym razem dołączyły do nas również grupy z innych wymian.





Na czwartek czekaliśmy od początku naszego pobytu w Holandii. W ten dzień bowiem mieliśmy pojechać do Amsterdamu i naocznie zweryfikować obiegowe o nim opinie jakie krążą wśród Polaków. Jedno jest pewne: nie zawiedliśmy się. Na początku mieliśmy chwilę na tradycyjne zdjęcia przy wielkim napisie „I am Amsterdam” i chwilę odpoczynku po nie należącej do krótkich podróży. Następnie zwiedziliśmy w zawrotnym tempie muzeum Van Gogha, obejrzelśmy słynne „Słoneczniki” i szybko popędziliśmy na kolejny punkt programu, jakim było zwiedzanie miasta z pokładu barki. Amsterdam jest wyjątkowo pięknym miastem, mającym swój własny, niepowtarzalny klimat, którego nie da się opisać, lepiej zobaczyć zdjęcia. Odwiedziliśmy Hard Rock Caffè, główną ulicę handlową i oczywiście dostaliśmy dużo czasu wolnego. Po owocnych zakupach i skompletowaniu pamiątek dla całej rodziny musieliśmy z zalem opuścić Amsterdam, choć przypuszczam, że na długo pozostanie nam jeszcze w pamięci.



Ostatni dzień minął nam tak jak zazwyczaj mijają ostatnie dni: pakowanie się w przygnębieniu, wiele pożegnań i ciepłych słów. Jeszcze tylko zwiedziliśmy pobliski zamek, wysłuchaliśmy historii słynnego prawnika, Hugo de Groot, i mogliśmy ostatecznie pożegnać Holandię. Sama podróż powrotna była nieco męcząca, co zapewne powodował smutek z powodu konieczności powrotu do codzienności, poza tym człowiek przyzwyczaja się do nowych miejsc, ludzi, szczególnie kiedy nawiązuje z nimi bardzo dobry kontakt. A trzeba przyznać, że rodziny holenderskie ugościły nas niezwykle miło i w bardzo krótkim czasie zawiązaliśmy nowe przyjaźnie.

